

Moja dwukulturowość rozpoczęła się w 1989 roku na lotnisku w Nowym Jorku. Miałem wtedy 5 lat i od 14 miesięcy nie widziałem mamy ani taty. Gdy spotkaliśmy się w hali przylotów, nie poznałem ich, mimo że przez ostatnie 14 miesięcy, codziennie, na dźwięk dzwonka w domu moich dziadków, biegłem do drzwi z nadzieją, że ich zobaczę. To oczywiście nigdy się nie wydarzyło. Mimo tęsknoty nie zachowałem w pamięci ich twarzy. Mamę poznałem tylko po jej blond włosach. Na lotnisku płakałem, że to nie mój tata, że nie chcę tam być, ale – jak łatwo się domyślić – miałem wtedy niecałe 5 lat i nie mogłem nic zrobić. Pamiętam tę scenę bardzo wyraźnie, choć reszta wspomnień z tego okresu to jedynie zamglone obrazy.

.....
**Czytając to, myślisz może,
że moje dzieciństwo było trudne,**



bo nie byłem z mamą, ale ja myślę o moim dziadku, który będąc w tym samym wieku, nie miał nawet łóżka – spał na sianie, a gdy 1 września miał iść po raz pierwszy do szkoły, to rozpoczęła się II wojna światowa. Myślę też o moim pradziadku od strony taty, który jako młody chłopak – w 1920 roku – walczył przeciwko Rosjanom. Po jednej z bitew został ranny i wrzucono go do rowu z trupami, bo chyba ktoś myślał, że nie żyje. Ja wiem, że to smutne, że przez 14 miesięcy nie widziałem rodziców, ale on wtedy obudził

się wśród trupów! Ilu Polaków przeżyło coś podobnego? Myślę, że wielu. Historia Polski jest naprawdę traumatyczna – rozbiory, dwie wojny światowe, wojna polsko-bolszewicka, komunizm.

W Stanach mówi się dużo o PTSD – posttraumatic stress disorder. Sprawdziłem, że po polsku jest to zespół stresu pourazowego, czyli zaburzenie psychiczne powstałe na skutek traumatycznych przeżyć. Mój dziadek w momencie, gdy piszę tę książkę, ma 88 lat i nadal wspomina wojnę. Nienawidzi Niemców i przez całe życie zadaje sobie to jedno pytanie:

– Jak ci Niemcy mogli to zrobić? Taki niby mądry naród, a pozwolili, żeby jeden wariat nimi rządził.

Słucham jego opowieści i nie mogę przestać się zastanawiać:

Czy stres pourazowy dziedziczymy w Polsce po naszych przodkach?

Kiedy patrzę na Polaków, na moją rodzinę, na siebie, to myślę, że ten stres wciąż w nas tkwi. Przeżycia naszych dziadków i rodziców spowodowały, że zaczęli się w określony sposób zachowywać, a potem kolejne pokolenia powielają stworzone przez nich wzorce. Brak zaufania do obcych, nerwowość, negatywizm – przecież to się znikąd nie wzięło.

Mój dziadek w wieku 7 lat dowiedział się, że nie pójdzie do szkoły, bo rozpoczęła się wojna. Być może z jednej strony się z tego ucieszył, pomyślał: „Hej. Nie muszę iść do szkoły. Super“.

Z drugiej strony, słowo „wojna“ nie brzmiało dobrze. Czy on rozumiał, co się działo? Wyobraź sobie, że masz siedem lat, dowiadujesz się, że jest wojna, a potem przez sześć lat patrzysz, jak żołnierze wroga maszerują po twoim mieście z bronią w rękę, wokół słychać świst kul, a z oddali huk spadających bomb. Siedem lat to jest też wiek, od którego dopiero zaczynamy być bardziej

świadomi i nasze wspomnienia są wyraźniejsze. W okresie, kiedy kształtowała się dziadka osobowość, on doświadczał okupacji.

Jak te wojenne doświadczenia wpłynęły na dzieci dziadka, w tym mojego ojca? Jaki pośredni wpływ miały na mnie? Ale też na większość Polaków, których dziadkowie przeżyli to samo, co mój dziadek?

Ludzie w Ameryce nie mają takich wspomnień, historia nie doświadczyła ich aż tak bardzo. Nie na ich własnej skórze. Może właśnie dlatego są bardziej otwarci i zadowoleni?

Amerykanie są inni niż ludzie w Polsce. Ich doświadczenia nie są tak negatywne, przez co dzieci są wychowywane w mniejszym stresie.

Opowiadałem kiedyś mojemu tacie o tym, jak się czułem, gdy pierwszy raz brałem udział w karaoke. Że byłem bardzo zdenerwowany, ale przełamałem swój strach i wystąpiłem. On odpowiedział, że dla niego taki występ w ogóle nie byłby możliwy przez to, jak był wychowany w komunistycznej Polsce. Od małości uczono go, i jego rówieśników również, żeby się niczym nie wyróżniać, nie wychodzić przed szereg, nie mieć własnego zdania. Trzeba było słuchać dorosłych, a nauczyciele gnębili uczniów i wymierzali im kary cielesne. Bicie dzieci było na porządku dziennym – tak przynajmniej zapamiętał to mój tata i ja wierzę, że tak właśnie było. Najbardziej zapamiętałem jego wyznanie, że w tamtych czasach dzieci nie miały prawa mieć własnego zdania. Tak się nawet podobno w Polsce mówi:

Dzieci i ryby głosu nie mają.

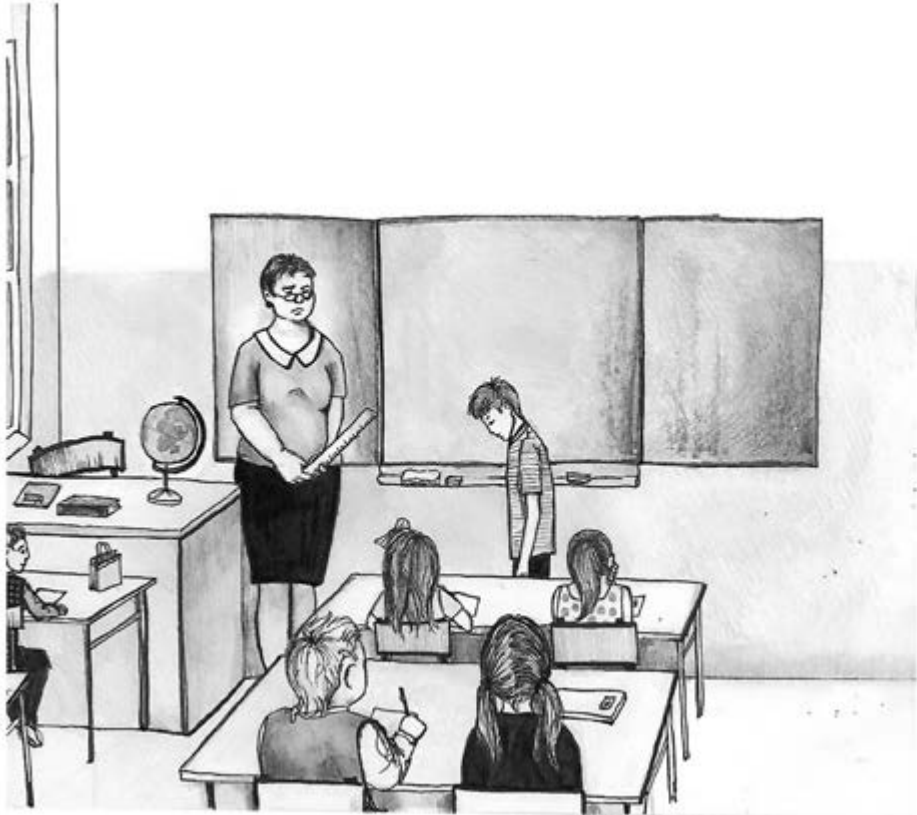
Gdy tata był dorosły, wcale nie było mu w Polsce lepiej. Jako dziecko ciągle słuchałem opowieści o latach 80. – o pustych półkach w sklepach, o tym, że w sezonie grzybowym nawet octu

nie było, a ludzie stali w kolejce nie wiedząc, co i czy w ogóle coś dostaną. Podobno kupowano cokolwiek, co akurat trafiło do sprzedaży, nawet zepsute pralki czy lodówki, żeby je potem samemu naprawiać. Tata opowiadał, że niektórzy nawet fusów po kawie używali dwa razy, bo kawa była towarem luksusowym i nie można ich było tak po prostu nie wykorzystać. Prawdopodobnie z powodu tych wspomnień przez wiele lat wysyłaliśmy paczki do Polski, a w nich kawę, herbatę i ciuchy. Robiliśmy to nawet wtedy, gdy nikt już ich nie potrzebował, bo moi rodzice, ciocie i wujkowie wciąż żyli w przekonaniu, że Polska to biedny kraj. Z drugiej strony, mit o tym, że to, co z Zachodu jest lepsze, nadal w Polsce funkcjonuje. Na witrynach lumpeksów chwalą się, że ich używane ciuchy pochodzą ze Stanów czy z Anglii, na targach sprzedaje się chemię z Niemiec... Nawet mój dziadek cieszy się, gdy córka przysła mu kawę ze Stanów, bo w jego opinii smakuje lepiej niż ta kupowana w Polsce. Co jest nieprawdą. Czy to nie jest bardzo polskie myślenie? Ale chyba wiem, skąd ono się wzięło...

Moja babcia wyemigrowała do Stanów kilka lat przed nami. Gdy już się tam zaaklimatyzowała i zaczęła zarabiać, przysłała raz moim rodzicom 100 dolarów. To było więcej niż mój tata zarabiał miesięcznie! A był w Polsce... lekarzem. Innym razem przysłała dla mnie ciuchy. Tata do dziś wspomina te ciuchy. Według niego miały żywe, jasne kolory w przeciwieństwie do polskich ubrań, które zawsze były wyblakłe i wyglądały, jakby ktoś już je wcześniej nosił i prał wielokrotnie.

Był rok 1987 i w Polsce żyło się ciężko. Nikt nawet nie przeczuwał, że za chwilę to wszystko może się zmienić, dlatego moi rodzice zdecydowali, żeby z tej szarej i smutnej Polski uciec.

Tylko że to nie było takie proste. Potrzebny był paszport, a ten znajdował się w biurze paszportowym. Rodzice złożyli wniosek o wydanie dokumentu, w którym napisali, że chcą lecieć na waka-



cje do Grecji. Chyba nie wzbudzili w urzędnikach żadnych podejrzeń, ponieważ ich wnioski rozpatrzono pozytywnie. Polecili do Grecji, ale na miejscu mój tata nie otrzymał wizy do Stanów. W dalszą drogę moja mama udała się sama. Przez kolejne 14 miesięcy tata pracował w Grecji, moja mama w Bostonie, a ja byłem w Polsce z dziadkami.

Co pamiętam z dzieciństwa w Polsce?

Pamiętam bardzo dobrze, że brakowało mi rodziców. Pamiętam, jak biegłem do drzwi i otwierałem je z nadzieją, że będą za nimi stać. 14 miesięcy bez mamy i taty to bardzo długo, ale myślę, że takie były czasy i na ich miejscu postąpiłbym tak samo. Nie mam żalu, bo bez ich poświęcenia i odwagi nie byłbym tym, kim jestem,

nie byłbym też Davem z Ameryki, nie miałbym swojego kanału na YouTube i nie napisałbym książki. Moje życie nie różniłoby się niczym od życia innych ludzi. Poza tym, historia mojej rodziny zna bardziej traumatyczne przeżycia – o czym wspomniałem wcześniej. W porównaniu z nimi – ja jestem szczęściarzem.

Urodziłem się w 1984 roku. Lata 80. spędzone w Polsce pamiętam jak przez mgłę. Pierwszą rzeczą, która przychodzi mi na myśl, gdy wspominam ten okres mojego życia, jest różga.

Byłem łobuzem, a według mojej mamy to czasami nawet skurwysynem, więc dziadkowie straszili mnie albo różgą, albo Babą Jagą. Robili to dość często, bo byłem ruchliwym chłopcem, do tego cały czas kombinowałem, jak coś popsuć i pewnie dziś zdiagnozowano by mnie jako dziecko z ADHD – jednak wtedy to się tak nie nazywało, i nie leczono tego tabletkami, tylko kłapsem, różgą albo Babą Jagą. I ja się szczerze tej pani bałem. Wyobrażałem ją



sobie jako czarownicę, która może mnie porwać. W mieszkaniu dziadków był jeden pokój, w którym nikt nie spał i byłem przekonany, że właśnie tam ukrywa się Baba Jaga. Przekonanie wzmocnił fakt, że stał w nim również kołowrotek, który dość mocno kojarzył mi się z czarownicami. Strach nie powodował jednak, że stawałem się nagle grzeczny.

Pamiętam, że w któreś święto związane ze św. Mikołajem (albo to był 6 grudnia, albo Boże Narodzenie) moi dziadkowie przez trzy noce kładli mi prezenty pod poduszkę. Do dziś nie wiem, dlaczego to były trzy noce z rzędu. W pierwszą noc dostałem żołnierzyki, ale potem w ciągu dnia byłem niegrzeczny i dziadkowie straszili mnie, że jeśli nadal będę się tak zachowywać, to dostanę różgę. I w rzeczy samej, tak się właśnie stało. Następnego ranka, pierwszą rzeczą, którą zobaczyłem po przebudzeniu, była wisząca na ścianie **różga przewiązana kokardką**. Do dziś uważam, że to było dość zabawne. Na szczęście, dziadkowie nigdy mnie nie uderzyli – ani różgą, ani pasem, ani ręką. Najadłem się tylko trochę strachu.

Różgę jednak zapamiętałem – jak widać – na zawsze i wciąż się zastanawiam: **Czy ludzie w Polsce nadal straszą dzieci różgą?** Wiem, że w Stanach rodzice mówią niegrzecznym dzieciom, że Święty Mikołaj przyniesie im węgiel w prezencie. I to jest dla nich smutne, bo po co im węgiel? W Polsce byłby to chyba fajny prezent, bo taki węgiel można spalić w piecu i wyprodukować jeszcze więcej smogu. Ja już wiem, że Polacy kochają smog. Zimą nie można nawet wyjść na spacer, bo tak śmierdzi na ulicach. Do tego ciężko się oddycha, ale chyba nikomu to nie przeszkadza. Nie miałem pojęcia, że w cywilizowanym świecie ktoś jeszcze ogrzewa domy węglem, dopóki nie przeprowadziłem się do Polski i okazało się, że tutaj jest to normalne! Wydawało mi się zawsze, że ten sposób ogrzewania wymarł wraz z rewolucją przemysłową.

Wracając do różgi. Polacy byli naprawdę hardcore pod tym względem. Dawali dzieciom kawałek drewna, żeby je potem nim lać. Ile osób w moim wieku, wychowanych w Polsce w latach 80., albo i wcześniej, pamięta kary za bycie niegrzecznym? I co to w ogóle znaczyło, że ktoś był niegreczny?

Z tego okresu pamiętam jeszcze ryby pływające w wannie. Stosunkowo niedawno dowiedziałem się, że to były karpie, wcześniej nie wiedziałem o tradycji jedzenia tych ryb w Wigilię. Miałem cztery lata i gdy zobaczyłem w wannie ryby, pomyślałem, że dziadkowie kupili mi zwierzątka, żebym miał się z kim bawić, ale one potem zniknęły z tej wanny i nikt nigdy nie wytłumaczył mi, skąd się w niej wzięły. Nie miałem pojęcia, że one później leżały na moim talerzu.



**Słyszałem, że w Polsce nie można już
kupić żywych karpie. Co tu się dzieje?
Nie możecie zabijać ryb we własnej wannie?
Nie bijecie już dzieci różgą?
Ja myślałem, że Wy jesteście twardzi!**

Wspomnień z wczesnego dzieciństwa nie mam zbyt wiele. Szkoda, że te, które w pamięci zachowałem są takie negatywne. Przypominają mi się jeszcze jakieś dzieci leżakujące w przedszkolu, do którego sam jednak nie chodziłem. Z jakiegoś powodu znalazłem się kiedyś w przedszkolu, zobaczyłem, że dzieci śpią w ciągu dnia i pomyślałem tylko, że to są jakieś sieroty (po angielsku powiedziałbym losers). Sam nienawidziłem spać i drzemki kojarzyły mi się z karą.

Ostatnie wspomnienie z Polski to schody, po których wsiadałem z babcią do samolotu, żeby odlecieć do Stanów.

Mały Polak w wielkich Stanach

Pierwsze miesiące w Stanach były naprawdę trudne. Po ponadrocznej rozłące musieliśmy poskładać naszą rodzinę na nowo. Mojej mamie było trochę łatwiej, bo żyła w nowym miejscu już od kilkunastu miesięcy, miała pracę, nowych znajomych, ale też wsparcie swojej mamy. Tacie natomiast musiało być naprawdę ciężko. W Polsce był lekarzem, a poprzedni rok spędził w Grecji



przy pracach remontowych. Do tego nie znał języka, więc przylot do Stanów był – dosłownie – rozpoczęciem życia od nowa. Chciał wrócić do zawodu, ale nie mógł iść do pierwszego lepszego szpitala, bo przecież nie mówił po angielsku. W Stanach bardzo trudno zostać lekarzem, jeśli jest się imigrantem i nie studiowało się w tym kraju, a co dopiero, gdy było się lekarzem w bloku sowieckim...

Musiał znowu wrócić do studiowania, zdawania egzaminów, a przy tym nie mógł nie pracować, bo przecież nie przywieźliśmy z Polski żadnych oszczędności. Na początku tata wykonywał typowe prace imigrantów – rozwoził pizzę, jeździł na taksówce, pracował w fabryce. Robił to, co musiał, aby osiągnąć założony cel. Podziwiam go za to do teraz. Inni rodzice mówią dzieciom o dążeniu do celu, powtarzają, żeby się uczyły, ciężko pracowały, a mój tata pokazał mi w praktyce, jak to robić. Dzięki niemu wiem, że jestem w stanie zrealizować wszystko, co będę chciał, że nie ma rzeczy niemożliwych, jeśli oczywiście jest się zdrowym i sprawnym.

W zasadzie nie powinienem mówić, że tylko tata mnie tego nauczył, bo przecież moja mama również odważyła się lecieć do Stanów i wspólnie budowali swoje życie od nowa, nie mając właściwie nic prócz chęci do pracy.

Kiedy ludzie narzekają i mówią, że trudno jest coś zmienić w swoim życiu, na przykład, znaleźć nową pracę, przeprowadzić się, rozwieść, nauczyć się czegoś nowego, to od razu mam przed oczami moich rodziców. Jeśli oni byli w stanie wyemigrować z komunistycznego kraju, nauczyć się obcego języka i żyć w innej kulturze, to znaczy, że każdy może dokonywać zmian w swoim życiu. Wiele osób dziwi się, że wyprowadziłem się ze Stanów (bo nadal mają wyobrażenie, że jest to najlepszy kraj na świecie), że podróżuję i przeprowadzam z jednego kraju do drugiego. Niektó-

rzy uważają, że to jest na pewno bardzo trudne, wymaga odwagi. A przecież to jest bardzo łatwe w porównaniu z tym, co przeszli moi rodzice! Jeśli moim rodzicom udało się pokonać żelazną kurtynę, to ja chyba mogę zrobić wszystko. Jestem białym Amerykaninem z dwoma paszportami. W którym momencie może być mi trudno?

Zdecydowanie nie chcę, żeby ktoś pomyślał, że ta książka jest poradnikiem, ale zależy mi, aby Polacy uwierzyli w siebie i w swoje możliwości. Moi rodzice nauczyli mnie, że trzeba walczyć o swoje marzenia i realizować je bez względu na okoliczności. Chcę się tym dzielić z innymi.

Po kilku latach ciężkiej pracy tata dostał w końcu swoją pierwszą rezydenturę, wprawdzie nie w dziedzinie, która go interesowała, bo został patologiem, ale był to początek jego lekarskiej kariery w Stanach. To, że został patologiem brzmi trochę paradoksalnie, biorąc pod uwagę, że Polacy w kraju nadużywają słowa „patologia” i niemal wszystko określają mianem „patologicznego”. Przez wiele lat próbowałem to zrozumieć, bo długo nie wiedziałem, co to w ogóle znaczy. Na każdym kroku słyszałem słowo „patologia” i zastanawiałem się, dlaczego Polacy tyle mówią o medycynie.

Przez pierwsze miesiące pobytu na obczyźnie mieszkaliśmy u babci. Oglądałem wtedy dużo telewizji, w tym bajek po angielsku, z których jednak nic nie rozumiałem. Po jakimś czasie wyprowadziliśmy się od babci, ale nadal mieszkaliśmy w Bostonie i dopiero wtedy poszedłem do zerówki, czego nie wspominam dobrze, bo nie rozumiałem innych dzieci. Do tego rodzice pracowali, więc do szkoły zaprowadzał mnie nasz sąsiad, którego córki chodziły do tej samej placówki. Po drodze wchodziliśmy do kawiarni, w której on kupował sobie kawę, a dziewczynkom ogromne ciepłe muffiny z jagodami albo kawałkami czekolady, na widok których dostawałem ślinotoku. Musiałem wyglądać jak

pies wpatrujący się w swojego właściciela i czekający na kawałek z pańskiego stołu. Marzyłem na jawie, że ja też jem te muffiny, jednocześnie wymazując z pamięci wspomnienie z poranka, gdy siedziałem przy stole nad okropną kanapką z żytniego chleba z wędliną. W domu mama nie pozwalała mi jeść słodczy, a ja przez całe dzieciństwo marzyłem tylko o nich.

Po powrocie ze szkoły włączałem telewizję i jeśli byłem sam, odpalałem HBO. Dzięki temu dość szybko poznałem amerykańskie przekleństwa i zdobyłem ogólną wiedzę na temat seksu.

Z czasem stawałem się dwujęzyczny, ale to powodowało jeszcze większą frustrację, bo słabo szła mi nauka czytania i pisanie po angielsku. Chociaż pewnie powodem niepowodzeń była raczej moja niechęć do siedzenia nieruchomo w jednym miejscu i ćwiczenia. Byłem łobuzem, lubiłem być w ruchu, biegać, krzyczeć, kombinować, a wszelkie prace ręczne miałem w nosie. Moją nauczycielką była zakonnica, bo chodziłem do szkoły katolickiej i do dziś się zastanawiam, jak ona dawała sobie ze mną radę. Gdy w domu nie chciałem odrabiać lekcji, mama mówiła mi, że na moim ramieniu siedzi mały diabełek. Nie wiem, jaki miała w tym cel, bo zamiast koncentrować się na zadaniach, próbowałem zobaczyć tego diabełka. Zadania domowe męczyły mnie do tego stopnia, że zacząłem je wyrzucać do śmieci. Okazało się, że umieszczanie ich w kubie było znacznie łatwiejsze niż ślęczenie nad nimi. Moja mama nigdy się nie zorientowała, ale to też była zerówka, więc nikt nie zadzwonił do niej z pretensjami. Raz jednak wyrzuciłem coś bardzo ważnego, jakiś dokument, który mama miała podpisać. I wtedy o mały włos, wszystko by się wydało. Zadzwonili do niej ze szkoły z ponagleniem, że potrzebują już ten papier, który miała podpisać, ale ona nie miała pojęcia, o co chodzi. Zaczęła szukać tego dokumentu po domu i ciągle pytała mnie, gdzie mogłem go wsadzić. Ja jednak twardo powtarzałem, że nic nie wiem i nie

przyznałem się do moich niecnych czynów. W końcu sprawa uci-
chła, a ja odetchnąłem z ulgą. Jak widać kłamstwo się opłacało, bo
uniknąłem kary.

Pod koniec pierwszej klasy mówiłem już płynnie po angielsku i w tym języku komunikowałem się ze światem. Zaczynałem też rozumieć, że to w naszym domu jest coś nie tak, skoro większość ludzi mówi po angielsku, a tylko my po polsku. Przyszedłem kiedyś do domu po szkole i oznajmiłem moim rodzicom, że muszę z nimi porozmawiać. Mama akurat coś robiła, więc po prostu powiedziałem do niej:

– Od teraz będę mówić w domu tylko po angielsku. Wy nadal możecie mówić do mnie po polsku, ale ja będę odpowiadał po angielsku.

Jeszcze dobrze nie skończyłem zdania, a mama już stała nade mną i trzymając się za biodra orzekła:

– O, nie, kochanie, w tym domu mówimy tylko po polsku.

Od tamtej chwili nie przestaję się zastanawiać... Czy każda polska mama mówi do swojego dziecka: O, nie, kochanie! – kończąc tym samym jakiegokolwiek dyskusje i negocjacje?

– OK – powiedziałem bez żadnej dyskusji, bo wiedziałem, że „o, nie, kochanie“ jest ostatecznym argumentem.

W 1992 roku przeprowadziliśmy się do Filadelfii i to był tak naprawdę początek mojego świadomego życia. Dopiero z tego okresu mam pierwsze wyraźne wspomnienia. Gdy ktoś mnie pyta, gdzie się wychowałem, to ja zawsze odpowiadam, że w Filadelfii. Pamiętam, jak pierwszy raz zobaczyłem to miasto. Nasz samochód był zapakowany po brzegi, bo byliśmy na etapie przeprowadzania się, jechaliśmy prawie pięć godzin bez przystanku, w końcu dotarliśmy, ale najpierw wjechaliśmy do najgorszej części miasta. Tata nie rozglądając się chyba za bardzo, powiedział do nas uradowany:

– Jesteśmy! To jest właśnie Filadelfia.

Byłem już zmęczony podróżą, chciałem w końcu zobaczyć nasz nowy dom, spojrzałem więc przez okno i zobaczyłem brudne, zniszczone miasto, gdzie okna były zabite deskami, a samochody stały na pustakach zamiast na kołach. Było tam tak strasznie, że się popłakałem – tak, jak to robią małe dzieci, gdy jest im strasznie smutno. Każdy, kto uważa, że Ameryka to wspaniały kraj, powinien choć raz odwiedzić takie miejsce. My, na szczęście, tylko przejeżdżaliśmy przez tę dzielnicę, bo naszym celem była inna enklawa – Port Richmond, czyli polska dzielnica w Filadelfii. Po trzech latach spędzonych w otoczeniu samych Amerykanów, przyjechaliśmy do miejsca, gdzie żyło mnóstwo Polaków.

Byłem najszczęśliwszym dzieckiem na świecie, gdy na placu zabaw spotykałem polskie dzieci i ich matki, które siedziały na ławkach obok i rozmawiały ze sobą po polsku.

– Cześć! Ja też jestem Polakiem! – mówiłem podekscytowany.

Byłem dumny z tego, że jestem Polakiem i szczęśliwy, że znalazłem się wśród swoich ludzi. Większość z tych dzieci mówiła po polsku i po angielsku. Chodziłem z nimi do szkoły, bawiłem się z nimi na dworze, odwiedzaliśmy się w domach, bo nasi rodzice też się ze sobą kolegowali. Dopiero z czasem zacząłem poznawać dzieci, które były „fresh off the boat”, czyli dopiero co przybyły z Polski. Nie mówiły po angielsku, zachowywały się nieco inaczej niż my, i budziły ciekawość nas wszystkich.

Pozwolę sobie tutaj na wtrącenie, że wyrażenie „fresh off the boat” poznałem dość późno – gdy opowiadałem moim amerykańskim przyjaciołom o tym, że moi rodzice przybyli do Stanów jako dorośli, a ja miałem wtedy pięć lat.

– Oh, so you’re fresh off the boat (tłum. Więc ty dopiero co zszedłeś ze statku) – zapytał ktoś, a ja odpowiedziałem wzburzony, jakby ktoś nazwał mnie małym, głupim Polaczkiem

– Nie przypląnąłem tu łodzią, tylko przyleciałem samolotem.

Pomyślałem sobie wtedy, że Amerykanie są naprawdę głupi, skoro myślą, że imigranci nadal przybywają do Stanów statkami i są egzaminowani na Ellis Island jak w 1900 roku. Wyobraziłem sobie, że w ich głowach byłem małym polskim chłopcem, który podekscytowany stał na pokładzie statku i czekał aż w końcu z mgły wyłoni się Statua Wolności, żeby potem zacząć skakać z radości i krzyczeć po angielsku, ale jednak z bardzo mocnym, polskim akcentem:

– America! I want to be real American boy!“ (wypowiedziane błędnie bez „a“ przed słowem „real“).

Szybko jednak wyprowadzono mnie z błędu i wyjaśniono mi, że to jest tylko takie powiedzenie i obecnie znaczy jedynie, że jesteś stosunkowo nowym imigrantem.

Gdy myślę o Polakach w Stanach, to pierwsza rzecz, która przychodzi mi do głowy jest taka, że są to moi ludzie, z którymi zawsze bardzo mocno się identyfikowałem – szczególnie z tymi, którzy jako dzieci przylecieli do Stanów albo urodzili się tam. Mam z nimi wiele wspólnego i nasze doświadczenia są bardzo podobne. Druga rzecz jest taka, że Polacy w Stanach trzymają się razem i dbają o siebie. Gdy moi rodzice spotykali w sklepie jakichś Polaków, to tydzień później siedzieliśmy razem z nimi przy stole w naszym domu i jedliśmy wspólnie obiad. Zakładałem, że Polacy są jak rodzina i było dla mnie straszne, gdy jako dorosły odkryłem, że w Polsce tak nie jest. Chociaż mogłem przeczuwać już wcześniej, że w Polsce jest inaczej, bo moja ciocia, która przyleciała do Stanów jako osoba dorosła, miała inne spostrzeżenia. Zatrudniła się na czarno u Polaków i opowiadała, że nie byli w stosunku do niej uczciwi, raczej próbowali ją wykorzystać. Słyszałem podobne historie, ale sam niczego takiego nie doświadczyłem. Spotykałem się raczej z solidarnością wśród Polonii.

Moje dzieciństwo w Port Richmond

Żeby wyobrazić sobie, jak wielu Polaków mieszkało w Port Richmond, przytoczę pewną sytuację. W moim domu odbierało się telefon po polsku mówiąc „Halo?” i często to ja go odbierałem (nie jestem pewien, czy moi rodzice w ogóle wyczuwali różnicę w wymowie słów „halo” i „hello”). Raz zadzwoniła jakaś pani i poprosiła do telefonu moją mamę – to znaczy wywołała ją tylko po imieniu. Zawołałem więc mamę, ale po chwili ich konwersacji okazało się, że ta kobieta chciała rozmawiać z kimś, kto miał tylko na imię tak samo jak moja mama. Było nas więc w Port Richmond tylu, że zdarzały się nawet pomyłki telefoniczne. Do naszego domu dzwoniли zresztą tylko Polacy, ewentualnie telemarketerzy, którzy nie potrafili poprawnie wymówić naszego nazwiska ani imion rodziców, więc od razu wiedzieliśmy, że dzwoni ktoś, kto chce nam coś wcisnąć.

O ile Port Richmond było małą Polską, to mój dom – ale też domy innych polskich rodzin – były ostojami polskości. U nas w domu na obiad mama serwowała z reguły ziemniaki, mięso (mielone, schabowe albo kurczak) i surówkę, a do tego na stole pojawiały się dwa słoiki z polskiego sklepu – jeden z ogórkami kiszonymi, drugi – z konserwowymi, do popicia obowiązkowo była... gorąca herbata.

Tata próbował czasami usmażyć steki, ale ponieważ nie miał pojęcia, jak to robić, wychodziły mu zawsze gumowate. W Polsce jadł tylko wieprzowinę i drób, więc o wołowinie wiedział niewiele. Dopiero, gdy miałem 18 lat, zjadłem swój pierwszy dobrze usmażony stek i zrozumiałem, że wołowina może być soczysta i pyszna.

Dość późno dowiedziałem się również, że **Amerykanie nie piją herbaty i nie jedzą codziennie ziemniaków**. W przeciwieństwie

do Polaków, którzy zdaje się mają jakąś obsesję na punkcie ziemniaków. Moja ciocia wyznała mi kiedyś, że bez nich, to w ogóle nie ma mowy o prawdziwym obiedzie i że ona by się nie najadła, gdyby nie miała ziemniaków codziennie na talerzu.

To jest dopiero bardzo polskie – w Stanach ludzie myślą zupełnie inaczej. Tam, na przykład, bardzo popularna jest kuchnia włoska (a w zasadzie jej amerykańska wersja) i w diecie Amerykanów często pojawiają się owoce morza. U nas w domu z owoców morza jedliśmy słone śledzie i smażone ryby, bo wszystko inne – jak krewetki – było według mojej mamy obrzydliwe. Ona w zasadzie nie używała słowa „krewetki“, ale „shrimps“, bo nawet nie wiedziała, jaka jest polska nazwa. Shrimps przypominały jej karaluchy, więc nigdy ich nie kupowaliśmy.

Moi amerykańscy znajomi nie mogli pojąć, gdy mówiłem im, że w zasadzie oprócz pizzy i makaronu nie jemy w domu nic włoskiego (o tym, że makaron wkładamy do zupy nawet nie wspomniałem). Dla nich to było niemożliwe. Tak jednak wyglądały polskie domy w Stanach – były bardzo polskie.

W domu mówiłem po polsku, na podwórku było różnie, w szkole używałem tylko angielskiego i jedynie w tym języku uczyłem się pisać i czytać. Rodzice zapisali mnie do prywatnej katolickiej szkoły, gdzie wszystkie lekcje odbywały się po angielsku, a nauczyciele nie mówili po polsku. Trafiłem tam nie dlatego, że moi rodzice byli religijni – bo nie byli, ale dlatego, że szkoła publiczna była kiepska. W Stanach poziom edukacji zależy od miejsca zamieszkania i od tego, jakie podatki płaci dana społeczność. W mojej okolicy szkoły publiczne miały złą opinię, dlatego szkoła katolicka przy polskim kościele w Port Richmond cieszyła się dużym zainteresowaniem – szczególnie wśród Polaków, ale chodzili tam również Amerykanie – bo nie była zbyt droga, a zapewniała przyzwoite wykształcenie.

Do mojej klasy chodziły więc dzieci różnych narodowości. Do dziś pamiętam jednego chłopca, który miał na imię... Judas, czyli Judasz. Nie wiem, dlaczego rodzice dali mu tak na imię, bo w końcu byli religijni i zapewne od początku mieli w planach wysłać go do szkoły katolickiej. Może tak bardzo go nienawidzili i chcieli sobie z niego zażartować? Polscy rodzice nie mieli takiej fantazji, większość dzieci w klasie nosiła tradycyjne polskie imiona, takie jak Marek, Jacek, Robert, Michał, Bartek, Kamil, Paweł, Agnieszka, Aneta, Tomek, Karolina. Polskich dzieci było najwięcej, a do tego cała szkoła śmierdziała kielbasą. Wszystko przez to, że na miejscu nie serwowano obiadów ani przekąsek, musieliśmy przynosić sobie drugie śniadania z domu.

Wyglądało na to, że większość z nas miała kanapki z kielbasą. Trzymaliśmy je najpierw w szatni, a po długiej przerwie, każdemu się tą kielbasą odbijało.

Szkołę w Port Richmond rozpocząłem od trzeciej klasy, wcześniej chodziłem do szkoły w Bostonie. Tam również była to placówka katolicka, ale nie było w niej Polaków. Dopiero w trakcie mojego pierwszego roku w szkole w Port Richmond zacząłem poznawać prawdziwe polskie dzieci, które dopiero przylatywały z Polski i w ogóle nie umiały mówić po angielsku. Często służyłem im za tłumacza, ale nie identyfikowałem się z nimi za bardzo. Trzymałem się raczej z dziećmi, które mówiły po angielsku, ale ich rodzice byli Polakami – siadaliśmy razem w kafeterii, jedliśmy nasze kanapki z kielbasą i obserwowaliśmy „fresh off the boat Polish kids“, które były agresywne, bluzgały i częściej niż my szukały powodów do bicia się. Nazywaliśmy ich super-Polish, bo mówiły tylko po polsku i do tego były naprawdę hardcore. W pamięć zapadł mi jeden chłopak, który miał jedno oko zielone,

a drugie niebieskie i nigdy się nie uśmiechał. Kiedy ktoś go obraził, to on od razu był gotowy, żeby mu przylać. I oczywiście robił to. Pamiętam, że raz po szkole zaczął się na kolegę, którego nikt nie lubił. Wszyscy patrzyliśmy, jak ten słabszy dostaje wpierdół, ale nic nie zrobiliśmy, tylko się gapiliśmy. Bójce przyglądały się również bawiące się w pobliżu dzieci – dużo młodsze od nas – które w pewnym momencie zaczęły krzyczeć:

- Pooowwwweeer Raaaangeeers! – I ruszyły w stronę agresora, aby potem rzucić się na niego i go bić.

Polskie dzieci naprawdę strasznie dużo przeklinały, ale na początku w ogóle nie zwróciłem na to uwagi, bo moja mama klęła jeszcze więcej i ja nawet o tym nie wiedziałem, dopóki w szkole nie powiedziano mi, że to są brzydkie słowa. Moja siostra, która jest ode mnie osiem lat młodsza, zrozumiała, że mama dużo przeklina, gdy po raz pierwszy przyleciała do Polski. Okazało się, że w kraju nikt nie bluzgał tyle, co nasza mama – może z wyjątkiem dresiarzy. Gdy byłem starszy i przebywałem w Polsce, rodzina mówiła do mnie:

- Uważaj, jesteś w Polsce, to teraz nauczysz się przeklinać.

- Nie sądzę, że jesteście w stanie mnie zaskoczyć – odpowiadałem.

Chociaż muszę przyznać, że poznałem znacznie gorsze przypadki - są tacy, którzy używają słowa „kurwa“ jak przecinka. **Polacy generalnie dużo przeklinają, ale jednocześnie ciągle się obrażają, gdy robią to inni.** Na przykład, ja. Nie wiem, co się dzieje w tym kraju, że wszyscy mają pretensje o wulgaryzmy, a wokół każdy bluzga aż miło. Mój kolega ze Stanów, który pracował w Polsce w branży IT mówił, że tu się klnie na potęgę. Było to dla niego o tyle szokujące, że w Stanach w biurach się nie przeklina. W Polsce można to robić nawet przy swoim szefie, a już na pewno menadżer nie cenzuruje się przy pracownikach. Chociaż

oczywiście nie w każdej sytuacji można przeklinać, przy niektórych osobach nie powinno się nawet mówić „kurde”. Chociażby przy swojej babci.

Wychowany przez moją mamę myślałem zawsze, że „skurwysyn” to znaczy łobuz, tylko taki gorszy łobuz, bo, jak zrobiłem coś naprawdę złego, to zdarzyło się jej nazwać mnie skurwysynem. Nie słysząc nigdy, jak Polacy przeklinają w naturalnych sytuacjach, nie umiałem nadać tym słowom odpowiedniej rangi. Kiedyś moja babcia opowiadała mi jakąś historię – nie pamiętam dokładnie o czym, bo mało mnie to w sumie obchodziło, ale ona była bardzo podniecona tym, że ktoś coś zrobił albo czegoś nie zrobił i jej się to nie podobało. Udawałem zainteresowanie, kiwałem głową, w końcu na jej konkluzję:

– Jak oni mogli coś takiego zrobić?

Odpowiedziałem:

– Co za skurwysyny...

Babcia spojrzała na mnie, jej źrenice powiększyły się, ciało zastygło w bezruchu, nic nie powiedziała, tylko spuściła głowę i zamilkła. Domyśliłem się, że chyba powiedziałem coś nie tak, więc zastanowiłem się przez chwilę i usłyszałem w swojej głowie: „Z kurwy syn”.

„Dziękuję Ci, moja polska matko!” – pomyślałem.

W Port Richmond mieszkaliśmy pięć lat i to był najlepszy czas mojego dzieciństwa. Jest mi naprawdę przykro, gdy wiem, że mój dziadek w tym samym wieku doświadczał wojny. 8 lat to jest taki wiek, gdy zaczyna się żyć bardziej świadomie, tworzą się wspomnienia – wszystko, czego doświadczamy ma później wpływ na resztę naszego życia i zostaje z nami na zawsze. Co ja zapamiętałem z tego okresu najbardziej? Strzykawki po heroinie na placu zabaw, które kopaliśmy w siebie krzycząc przy tym:

– Uwaga, igły po narkotykach!

I nagle w wakacje 2020 stałem w moim warszawskim, wynajmowanym mieszkaniu, gdy zabrakło mi mąki do zagęszczenia sosu. Zbiegłem na dół do „Żabki“, wziąłem z półki mąkę, poszedłem zapłacić. Przy kasie stała starsza pani, uśmiechnęła się i powiedziała:

– Dzień dobry. O! A co tutaj będziemy piekli?

Nie wiedziałem, co powiedzieć! Jakbym znalazł się w świecie równoległym, w którym Polska po wojnie nie trafiła pod opiekę Związku Radzieckiego, ale Ameryki.

Ta ekspedientka zupełnie bez powodu była dla mnie sympatyczna. Wcale nie dlatego, że ja byłem jakiś supermiły przy pierwszym kontakcie.

W Stanach byłbym mentalnie gotowy na taki small talk, ale w Polsce nie byłem.

Czyżby PiS wprowadził teraz taką politykę, że każdy musi być miły?

Już myślałem, że muszę zmienić całą książkę, że w ogóle wycofam się z jej pisania, bo chyba wszystko, co do tej pory przeżyłem było nieprawdą, ubzdurałem to sobie, ale potem poszedłem do innego sklepu. Chciałem się o coś zapytać, jednak nie umiałem stwierdzić, czy pani, która stała obok mnie była pracownikiem czy klientem, więc zagadnąłem:

– Przepraszam, czy pani tutaj pracuje?

– Jak widać – odpowiedziała, poprzedzając tę wypowiedź parsknięciem i przewróceniem oczami.

Potem jeszcze kilka razy odwiedziłem „Biedronkę“ i sobie wszystko przypominałem.

„Good ol’ Polish people“ – pomyślałem.

Czasami się zastanawiam, czy żeby dostać pracę w „Biedronce“, trzeba udowodnić, że się nienawidzi swojego życia? Jak ktoś chociaż raz w trakcie rozmowy o pracę się uśmiechnie, to koniec jego

kariery w „Biedronce“? Takich sytuacji nie było na szczęście za wiele.

Kocham Warszawę.

Mieszkam w centrum miasta, mogę wyjść przed blok i zjeść obiad w pobliskiej restauracji – dwa dania z deserem za 19 złotych! Obok jest park. Świeci słońce, bo jest lato – chociaż to akurat wyjątek, bo akurat to lato było okropne. Mam widok na Pałac Kultury. Jest pięknie. W pobliżu stoi żul i prosi o pieniądze, na ławce leży inny pijany mężczyzna i śpi. Podchodzi do niego chłopak, żeby sprawdzić, czy żyje. Czy 30 lat temu ktoś by się przejął tym, że na ławce leży pijak? Nie wiem, bo nie spędziłem w tym kraju aż tyle czasu, żeby stwierdzić, co jest normalnym zachowaniem, a co wyjątkiem... Ale bardzo pozytywnie oceniłem sam fakt, że młody człowiek poświęcił chwilę na to, aby się zatrzymać, dotknąć śmierdzącego pijaka (w czasach koronawirusa!) i sprawdzić, czy żyje. Obserwowanie tej sceny przywróciło mi wiarę w moich rodaków i pomyślałem:

Polska naprawdę zmienia się na lepsze!

Życie tutaj dzieje się na dworze, a miasto zbudowano dla ludzi, nie dla samochodów (i to zbudowano po wojnie od zera!). W Stnach też chciałem zamieszkać w mieście zbudowanym w stylu europejskim (bo takie też tam są), ale okazało się, że musiałbym bardzo dużo płacić za wynajem mieszkania czy domu – życie w tych miastach jest bowiem0 drogie.

Od mojej pierwszej wizyty w 1995 roku do wakacji w 2020 Polska przeszła niesamowitą transformację. Ale Polacy wciąż tego nie doceniają – nadal słyszę narzekania. Ja nie mówię, żeby

osiąść na laurach, ale może czas odrobinę sobie odpuścić, Polacy? Akceptujcie siebie, doceńcie, co macie, czego dokonaliście, ale też zastanówcie się, co można zmienić, nad czym warto pracować, nie oglądając się na innych.

Na początku książki napisałem, że są pewne cechy, które przejęliśmy od pokoleń wychowanych w czasie wojny. One nadal w nas tkwią, trzeba się z nich uwolnić, bo inaczej nie zrobimy kroku do przodu.

Nie chcę wyjść na jakiegoś trenera personalnego, to nie jest poradnik, ale zróbcie sobie przysługę – uwierzcie w siebie.

To napiszcie w komentarzach, jak się Wam podobało i jeśli jesteście zadowoleni, dajcie kciuka w górę. Do następnego razu.

